



Najnowsza powieść autora „Łąki umarłych”

ZEMSTA Kobiet

MARCIN PILIS


WYDAWNICTWO

ZEMSTA
KOBIEŃ

MARCIN PILIS

ZEMSTA
Kobiet

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2019
ISBN: 978-83-66229-28-0

Rozdział 1.

Paula. Ostatnia transakcja

Zdjęcie

Miała szczupłe ciało i delikatną, dziecięcą twarz. Karol Cichowski siedział oparty o niską ławę i przyglądał się fotografii. Poważne oczy, linia zaciśniętych ust, na policzkach warstwa rdzawego pudru. Widział gorczy bezradnego sprzeciwu, chwilę gniewu uchwyconą w płaskim kadrze prawdy.

— Ładne — powiedział po namyśle. — Wieczorem możesz ruszać.

— Muszę wcześniej. Spiesz się, bo podobno nie tylko my jesteśmy zainteresowani.

Mariusz Rolek wypowiedział te słowa z niepokojem w głosie.

— Dobrze, nie ma co zwlekać. Jedź od razu. Tylko pamiętaj, umawialiśmy się.

— Jasne, nie ma problemu.

Kiedy kilka minut później Karol Cichowski został sam, jeszcze raz sięgnął po zdjęcie. Na odwrocie nieporadnie skreślone litery składały się w napis: *Paula*.

Przyjrzawszy się dokładniej, mruknął coś pod nosem. Rzeczywiście była taka, jak zapewniał ten obleśny typ. Wprawdzie trochę zepsuta biedą, wymięta, ale przecież wszystko można naprawić. Jej oczy robiły ogromne wrażenie: wyzywające, przesiąknięte szczególnie odcieniem pogardy, jaka rysuje się na twarzach nieskażonych dziewcząt, tych wczesnych nastolatek, dopiero odkrywających głębię własnej kobiecości.

Na chwilę uwolnił wyobraźnię i pozwolił, aby przeminął go rozkoszny dreszcz. Odległe obrazy zabłyśły w pamięci, a dłoń mocniej ścisnęła zdjęcie.

Ileż to lat, ile lat upłynęło?

Podszedł do biurka, pamiętającego czasy międzywojenne, wsunął zdjęcie do szuflady i zamknął ją na klucz. Drobiazgi gromadzone od wieków. Małe przedmioty, pozornie bez znaczenia, a jednak utrwalające nieubłagany upływ lat. Dokumentacja ważna jedynie dla niego, i tak nikt inny by tego nie zrozumiał. Wszystkie te chusteczki, stos czarno-białych i kolorowych fotografii, fragmenty porwanych ubrań w osobnym pudełku — kiedy je tam

włożył? — błękitna oprawka okularów, kilka pierścionków, kosmyki włosów zmieszane z wąskimi i szerokimi wstążkami, miniaturowa maskotka z pluszu — przedmioty te, podobnie jak wiele innych, nadal leżały bezpiecznie w suchym i odgradzonym od reszty świata wnętrzu.

Co się z nimi stanie, kiedy będzie musiał odejść?

Dopił whisky. Myśl o spotkaniu z dziewczynką przynosiła fizyczną błogość, coś, czego prawie już nie pamiętał. Zdjęcie obiecywało wiele.

Otrząsnąwszy się, założył marynarkę i płaszcz, zgasił lampkę i opuścił pokój.

Sekretariat unurzany był w ciemnej czerwieni. Gosia podniosła głowę, gdy tylko przekroczył próg, i uśmiechnęła się zza biurka. Formalnie taktowna, tak jak należy, przepisowy uśmiech, choć oczy ani trochę nierozweselone.

Karol Cichowski dobrze to widział, nic nie umykało jego uwadze. Doskonale rozpoznawał mowę ciała swojej sekretarki. Była to mowa nieprawdziwych gestów, wymuszonej mimiki, pełna przepisowych ruchów i póż. Nie przeszkadzało mu to. Nawet lubił świadomość, że Gosia najchętniej opuściłaby to biuro i więcej nie wracała, gdyby tylko mogła. Gdyby jej pozwolił.

Odwzajemnił jej uśmiech, dopinając guziki płaszcza.

— Gosiu, dziś mnie już nie będzie, więc najlepiej zamknij, a potem możesz udać się do siebie.

— Oczywiście.

— Dziękuję.

W oczach młodej kobiety rozjarzyła się iskierka czegoś, co w równej mierze mógłby uznać za przejaw

radości, jak i największej obłudy. Dawno już pogodził się z tym, że dziewczyny, którym dawał na chleb, nie darzyły go nawet cieniem sympatii. Zresztą, wymaganie podobnych wariactw uznawał za głupotę. Wiedział, że nie da się skłonić kobiety do ciepłych uczuć, jeśli ona ich w sobie sama nie roznieci. Wszystko inne jest zaledwie udawaną rolą, dokładnie taką, jaką każdego dnia odgrywała dla niego Gosia.

Wyszedł na korytarz. Zamienił kilka słów z postawnym mężczyzną siedzącym za drzwiami, poklepał go po ramieniu i ruszył przed siebie. Po chwili był już na schodach. Kilkanaście stopni i znalazł się u drzwi. Panował chłód, więc szczelnie owinął się szalikiem. Człowiek z ochrony nacisnął klamkę i Karol Cichowski wyszedł na zewnątrz.

Budynki po drugiej stronie drogi tonęły we mgle, szarówka powoli przechodziła w mrok, oblekając świat ciemnym kurzem nocy. Głęboko wciągnął mokre, czyste powietrze i rozejrzał się wokół. Rozpadające się bloki pod lasem skrywała mgła, ale myśl o nich jak zwykle zaprzątneła mu głowę. Tyle wspomnień wiązało się z nimi.

Wsiadł do samochodu i powoli ruszył. Obraz dziewczynki ze zdjęcia przesunął mu się przed oczami. Niewinność, rzecz najcenniejsza na świecie, otulała jej postać niczym niewidzialna chmurka, zupełnie jakby stanowiła najcenniejszy rysz tunek, zbroję chroniącą przed złem nocy i dnia. To była czysta radość życia, magia niepowtarzalnego zespolenia urody, młodości i siły, właściwa niewielu podobnym istotom. Karol Cichowski wiedział, że taka chmurka niewinności, zaledwie

wyczuwalny obłoczek, to nie ochronny puklerz, ale zdradliwa przynęta na upiory, przed którymi nie można się obronić.

Rozsiadł się wygodnie i uchylił szybę. Papierosowy dym natychmiast ulotnił się z kabiny. Pewien trzydziestoparoletni lekarz stanowczo zabronił mu palenia, ale Karol Cichowski nie dowierzał lekarzom, a najbardziej nie dowierzał młodym ludziom, twierdzącym, że lepiej wiedzą, co dla niego dobre. Minął odrestaurowane budynki gospodarcze, dwa postawione własnymi środkami domy i po chwili opuścił miasto.

Jego miasto. Wskreszone z martwych.

Dom Pauli

Ona nie jest moją mamą. Wczoraj podsłuchałam, jak rozmawiała z nie moim tatą. Mówili o mnie. Najpierw myślałam, że to nie o mnie, bo rozmawiali o jakiejś „niej”, ale tak jakby inaczej niż zwykle, i brzydko się pokłócili. Nie znoszę, kiedy się kłóca, muszę wtedy uciekać pod dach, żeby nie mogli mnie widzieć. Lubię tam być, gdy nie mogę chodzić do szkoły.

Wczoraj pierwszy raz nie uciekałam. Kiedyś widziałam na filmie, jak dziewczynka skrada się i słucha, co mówią rodzice, a potem płacze, bo oni nie chcą już być razem. Nie moja mama i nie mój tata będą razem zawsze. Będą zawsze ze sobą. Tylko ze sobą. Aż się pozabijają.

Słuchałam ich długo, tak długo, aż nie słyszałam już nic, tylko ich wrzask. W domu nie moich rodziców jest

dużo wrzasku. Są dni, że mówią, jak im ciężko i że świat jest taki zły, że muszą się mordować dzień w dzień, i jeszcze ona — czyli ja — zjada darmo, bo nic nie robi. Piją wtedy wino i omawiają poważne sprawy. Kiedy nie piją, milczą i wtedy jest spokojnie, i nawet z osobna są przyjaźni dla mnie, pytają o różne rzeczy i o szkołę. To się kończy, gdy przestają milczeć.

Bo nie moi rodzice już tak mają.

Aż do wczoraj nie wiedziałam, że ona nie jest moją mamą. Podejrzewałam coś, lecz nigdy nie spytałam jej o to. Teraz już wiem, że ona jest taka sama, jak nie mój tata. Patrzyłam przez uchylone drzwi i widziałam, jak nachyla się w jego stronę i mówi:

— Moja też nie jest! I nie gadaj mi tu głupot, że mnie co trzyma. Ja wiem, co tobie chodzi po głowie.

A nie mój tata zaczął się śmiać, wykrzywił się tak nieładnie i zaczął kaszleć. Kiedy przestał, powiedział:

— Zrobimy to razem, kobieto.

Ciągle nie wiem, co chcą razem zrobić. Oni rzadko robią coś razem, chyba że akurat mówią do siebie o tych ważnych sprawach, a potem się brzydsko kłóć, albo kiedy oglądają telewizor. Czasami jestem z nimi i też oglądam. Kiedy byłam mała, oglądałam często, ale teraz już wyrosłam — tak mówi nie moja mama — i nie potrzebuję na te głupoty patrzeć, bo od tego tylko się za młodu głupieje i złe rzeczy po głowie chodzą dziewczynom, za dużo sobie wyobrażają, różnych fiu-bździu im się zaraz chce, i to takie teraz młode, a już nie wiadomo co. Nie moja mama powtarzała mi, że muszę być porządna. Jak nie będę porządna,

to źle skończę, a od oglądania nie będę porządniejsza. Często mi to mówiła. Kiedy byłam jeszcze mała, zapytałam, co się robi, że się jest porządnym, a nie moja mama powiedziała:

— Słucha się swojej matki. Porządna dziewczyna za matką pójdzie w ogień.

Nie rozumiałam, jak to jest iść w ogień za matką i dlaczego właściwie matka miałaby wchodzić do ognia, ale pewnego dnia prawie pojęłam, co chciała powiedzieć. Kładłam się, kiedy nie mój tata wszedł do mojego pokoiku. Był jakiś dziwny. Od razu położył palec na wargach i cicho podszedł do mojego łóżka. Ja już leżałam. Cuchnął winem. Myślałam, że chce mnie skarcić, bo jak się upił, to lubił karcić.

Teraz to ja cię skarczę — mówił tak albo jakoś podobnie, idąc już w moją stronę. A potem szczypał. Mocno i w różnych miejscach, zaciskał palce, tak że na drugi dzień nadal miałam sine ślady, spoglądał na mnie i pytał: *No i co, no, jak ci? Jak ci teraz?* Jednak tego wieczoru nie chciał mnie karcić. Od razu wyczułam, że jest inny niż zwykle. Byłam zdrętwiała, zrobiłam się jakby twarda, jak moje stare lalki w kątach, i nieruchoma, bo jego wzrok był jak sznur, a potem jego ręka zacisnęła się mi na buzi. Coś mówił, zrzędził tak jakby, ale nie rozumiałam nic. Wtedy ucisnął mi pierś i zaczął gładzić. Byłam mniejsza i ta pierś to wcale nie była pierś, bo była jeszcze bardzo mała, a jednak on gładził i zbliżał usta do mojego ucha. Potem przesunął rękę i włożył mi ją do majtek. Miał szorstką i wielką dłoń z grubymi palcami. Te palce zawsze wyglądały

jak krótkie napuchłe kielbasy. I wtedy poczułam, jak on tymi palcami przesuwa i naciska mnie tam między nogami, i udało mi się krzyknąć. Zacisnął mocniej dłoń i zaczęłam się dusić. Wtedy rozsunął spodnie, coś powiedział, ale nie słyszałam co, bo nagle ogarnął mnie całą jakiś szum, taki głośny szum, jakby z morskiej muszli. A on chwycił moją rękę i powiedział:

— No, dotknij... Dotknij se...

I coś jeszcze mówił, ale nie słyszałam więcej, bo szum przeszedł w trzask. Za chwilę to był już zgrzyt, jakby mnie miało od tego zgrzytu ogłuszyć na zawsze. A potem nagle poczułam, jak jego ciężar słabnie i zobaczyłam nie moją mamę.

— Ty skurwysynu jeden, ty! Ty gnoju zjebany! Przecie to jeszcze młode! Gdzie te łapska, gdzie!

Nie moja mama kazała mi iść za sobą. Nie chciałam, ale ona wtedy powiedziała:

— Jak ci mówiłam? Porządna masz być! Zobacz, coś narobiła! Pójdiesz ze mną, raz!

Pomyślałam, że pewnie teraz pójdziemy w ogień, ale nie moja mama zaprowadziła mnie do łazienki. Słyszałam, jak nie mój tata śmieje się i mówi, że jeszcze dzisiaj zatańcują.

Nie moja mama kazała mi się rozebrać i zaczęła mnie tam oglądać i macać. Potem wypuściła powietrze i powiedziała:

— Oj, w ogniu się będziesz smażyć, i on, i ty.

Próbowałam wytłumaczyć jej, że nie chciałam, żeby nie mój tata przychodził do mnie.

— Też pójdiesz do ognia.

A kiedy spytałam, czy pójde tam za nią, chlasnęła mnie w głowę.

— Nie być bezczelna, dziewczyno!

Dzisiaj jestem starsza i rozumiem, że nie moja mama chciała powiedzieć coś innego. Ale przecież ja nie mogę za nie moją mamą iść w ogień. Bo nie moja mama mnie nie kocha. Ona już tak ma.

Kiedy wczoraj pierwszy raz nie uciekłam, drżały mi nogi. Bałam się ruszyć, żeby nie usłyszeli, że podsłuchuję. Ale i tak mnie zobaczyli. Mówili właśnie, że muszą to zrobić, bo już w tym życiu chuj ich strzela jeden, a żyć przecież trza. Oni często tak mówią. Że ten chuj ich strzela. Podobnie mówią moi koledzy z klasy. Ale ja nie. Nie chcę mówić tak, jak nie moi rodzice, nie chcę się bawić w to, czego żądają ode mnie w szkole chłopaki. Od czasu, kiedy wczoraj pierwszy raz nie uciekłam, zmienili się całkowicie. Pamiętam, jak szłam do domu, a oni zaczęli się za jakimś murem. Było ich dwóch, z równoległej klasy. I jak tylko mnie przygnietli, od razu zaczęli macać. Ze wszystkich macań, jakie przeszałam, to było najgorsze. Macali mnie wszędzie i mocno, chyba chcieli rozebrać, a jeden z nich wyciągnął to swoje coś i przystawił mi do twarzy, a ja nie rozumiałam, o co mu chodzi. Wtedy ten drugi zaczął nagle macać tak mocno, że musiałam krzyknąć, bo gniótł mnie między nogami bez opanowania, jakby coś go zamroczyło. Nagle ktoś ich wystraszył i pobiegli. Wiedziałam jednak, że to nie koniec, nie ostatni raz. Prawie wszystkie dziewczyny były już wymacane i prawie wszyscy chłopcy macali, nawet tacy, że trudno ich o to posądzać, ich mamy na

pewno bardzo ich kochały i nigdy by w to nie uwierzyły, a nawet jakby uwierzyły, to byłyby z nich dumne. Najgorzej było po roratach. Stali często całymi grupami i rzucali się na dziewczyny nieraz od nich dużo starsze, a jak było trzeba, gonili do upadłego, przewracali i zaczynali macać. Macali lasem rąk, a te ręce walczyły z sobą o kawałek cipki, przepychały się jak zgłodniałe węże.

Dawno temu powiedziałam sobie, że nie będę mówić jak oni. Ani tak, jak nie moi rodzice, bo nie mój tata jest taki sam, jak chłopaki z klasy, tylko ma większe paluchy.

Zobaczyli, że stoję za drzwiami, i przestali mówić. Tylko wpatrywali się we mnie, jakbym była zjawą, a ja wpatrywałam się w nich i nie byłam w stanie się poruszyć. Wokół wisiał gęsty dym z papierosów, a żarówka dawała to smutne ciemnożółte światło, od którego przychodzą złe myśli. Chciałam biec na górę, pod dach, i żeby zapomnieli od razu, że ich podsłuchałam, i już tam sobie dalej tylko siedzieli, a ja pójdę cichutko i tak jakby mnie nie było. Ale nogi miałam jakby przymurwane do podłogi i nagle zachciało mi się sikać. Próbowałam wytrzymać, ale oczy nie mojego taty były jak oczy diabła, spoglądał tak strasznie, że popuściłam tam pod drzwiami i poczułam, jak siki płyną mi po nogach.

Wtedy nie moja mama wstała od stołu. Miała chwiejny chód, jednak szła szybko, prosto w moją stronę. Otworzyła szeroko uchylone drzwi i walnęła mnie ręką w twarz. Poczułam jej kości na policzku. Złapała mnie za włosy, zaczęła potrząsać i krzyczeć, myślałam, że za

chwile walnie moją głową w ścianę. A wtedy nie mój tata ją odciągnął. Szamotała mu się w rękach, wrywała i wiem, że chciałyby rzucić się znowu na mnie i wyszarpać, i bić. Chciałyby znowu mnie wyzywać. Ale nie mój tata jej na to nie pozwolił. Po kilku minutach uspokoiła się. Usadził ją na krzesło i powiedział:

— Co robisz, kobieto?! Kurwa! Po coś ją jebła? Jak jej teraz wyjdzie jakiś, kurwa, bąbel, jakieś limo czy chuj tam wie co, to co będzie? Pojebało cię?

A nie moja mama tylko siedziała, podpierając czoło ręką, i odepchnęła go od siebie. A potem powiedziała:

— Zamknij się, ty głupi ciulu! Gównu z tego rozumiesz!

Nie mój tata: — Zrób coś z tym!

Nie moja mama: — Odwal się.

Nie mój tata: — Kurwa, ja z tym coś zrobię.

Nie moja mama: — Nie! Nie dotykaj jej! Zostaw, będzie dobrze, nie bój się.

Zaczęła palić i nie patrzyła już na mnie więcej, a nie mój tata kazał mi iść do siebie, bo go nerwy wezmą. W pierwszej chwili nie mogłam oderwać stopy od podłogi. Wydawało mi się, że przyrosła, jakby ją ktoś przybił do deski.

Nie moja mama zachłannie paliła, pociągała raz po raz długie, głębokie machy. Nie mój tata znowu kazał mi iść do siebie. Udało mi się wreszcie przesunąć stopę, a wtedy nie moja mama odwróciła do mnie głowę i powiedziała:

— Idź, dziecko, idź. Potem przyjdę do ciebie.

Tak łagodnie to powiedziała, że nagle chciałam do niej podbiec albo żeby ona przyszła do mnie, ale teraz,

już, od razu; jednak powoli odwróciłam się i poszłam do łazienki. W oczach nie mojej mamy szklily się łzy, ale nie wiem, dlaczego i czy to przypadkiem nie z mojego powodu.

Zasnęłam wczoraj, a dzisiaj obudziłam się i bolała mnie twarz.

Rano weszła nie moja mama. Zapowiedziała mi, że nie idę do szkoły, bo szkoły już mi wystarczy. Spytałam dlaczego, przecież inni chodzą nadal. Odparła, że za dużo nauki dla takiej dziewczyny jak ja to tylko robi problemy i że mam się iść wykapać, tylko dokładnie. Obejrzała mi twarz pod światło i syknęła przez zęby, miała na czole jakąś ciemną smugę i zapytałam, czy coś jej się stało. Wtedy popatrzyła mi w oczy, objęła i mocno przytuliła. Nie pamiętam już, kiedy zrobiła to ostatni raz.

Kiedy już byłam czysta i wyschły mi włosy, nie moja mama przyniosła swoją kosmetyczkę. Musiałam usiąść do światła. Zamknęłam oczy. Nie moja mama pomalowała mi rzęsy i usta, a na policzek, gdzie mnie bolało, położyła dużo pudru. Chciałam wiedzieć, dlaczego to robi, przecież nie pozwalała mi się malować.

— Tata zrobi ci zdjęcie. Powinnaś ładnie wyglądać.

Zdjęcie. Nie moja mama nic więcej nie chciała zdradzić. Moje zdjęcie było po prostu potrzebne.

Na dole czekał nie mój tata. Był ogolony; miał na sobie odprasowaną koszulę, spodnie w kant, o których nawet nie wiedziałam, że je ma, włosy zaczesane do tyłu, pokryte chyba jakimś żelem albo lakierem nie mojej mamy; pachniał płynem po goleniu o ostrym zapachu.

— No, no, jak ta lala.

Jego śmiech po chwili przeszedł w kaszel.

Nie mój tata zrobił mi dużo zdjęć. Kazał stawać w różnych pozach i raz się uśmiechać, a raz nie. Był w bardzo dobrym humorze i ciągle powtarzał, że zdjęcia będą kurewsko dobre, że ja to mam we krwi i niejeden jeszcze się znajdzie, co ze mną zatańcuje.

Tylko nie moja mama siedziała cicho. Przez cały czas nie odezwała się ani słowem, patrzyła w okno, nie na nas. Wydawało mi się, że jest nie tutaj, w pokoju, ale w innym miejscu, jakby z dala, nawet było mi jej żal i miałam ochotę ją pocieszyć, jednak nie chciałam denerwować nie mojego taty.

Później musiałam iść do siebie i tam siedzieć. Nie wiedziałam, dlaczego nie moja mama zakazała mi wychodzić z pokoju, ale wolałam nie pytać. Po południu przyniosła mi obiad. Nadal się nie odzywała. Wreszcie po kolacji została ze mną.

Usiadła na łóżku obok i powiedziała, żebym się do niej przysunęła. Objęła mnie i przytuliła. To było dziwne i pomyślałam, że coś bardzo ważnego się zmieniło albo dopiero miało zmienić. Nie moja mama przytulała mnie mocno. Jeszcze nikt nigdy tak mnie nie ścisnął, ale było mi tak dobrze, że też ją objęłam i uściśnęłam. Przeszło mi przez głowę, że musiało się coś stać, bo od rana wszystko było inne niż zwykle. Pomyślałam, że nie moi rodzice się zmienili; może czekali, aż dorosnę, i kiedy już będę większa, to przyszykują mi taką niespodziankę, bo dorastająca córka to już nie małe dziecko i teraz muszą się zmienić, żebym i ja mogła

się zmienić; pomyślałam, że to jest takie ogólne prawo między rodzicami i dziećmi, i w pewnej chwili ono odmienia całe życie, i wszystko staje się lepsze. Tak pomyślałam i zapomniałam już, że boli mnie policzek.

I wtedy, gdy tak się przytulałyśmy, a ja czułam ciepło jej ciała i bijące ciężko serce, nie moja mama powiedziała, że muszę opuścić ten dom.

— Musisz, moje dziecko. Musisz. Jeszcze dzisiaj.

Czułam jej gorący oddech. Nie moja mama nie wypuszczała mnie z objęć. Ścisnęła mocno i szeptała do ucha.

Pamiętka

Mariusz Rolek odebrał SMS tuż przed dwudziestą drugą, z wycuciem wjeżdżając na zbyt wysoki krawęznik, i bardzo się zdziwił. Szef zazwyczaj wystrzeżał się ujawniania dręczących go niepokojów, tłumił z dobrym skutkiem oznaki głębszych emocji, ale tym razem musiało targać nim zniecierpliwienie większe niż zazwyczaj. Wysłał SMS-y z dziwnymi — jak na niego — pytaniami: *I jak? Załatwione?*

Pewnie, że załatwione. Zawsze jest załatwione. Nawet kiedy do prawdziwego załatwienia jeszcze daleka droga.

Mariusz zaparkował nieco dalej, niż proponował GPS, i odpisał, że jest na miejscu i zaraz załatwi sprawę.

Pstryknął kluczykiem. W odpowiedzi samochód wydał z siebie dwa krótkie sygnały i zamrugał światłami. Oddalając się, Mariusz zerknął jeszcze, czy wóz jest dobrze ustawiony i jak się prezentuje w świetle latarni,

a potem przeszedł na drugą stronę jezdni i z oddalenia przyjrzał się budynkowi.

Dom znajdował się przy jednej z bocznych ulic odchodzących od głównej arterii miasta. Musiał być postawiony jeszcze przed wojną i prawdopodobnie od tamtej pory nie zaznał zbyt wielu remontów. Po obu stronach górowały nad nim wysokie kamienice z wąskimi balkonami. Sprawiał wrażenie niezbyt obszernego, choć zajmował dużą powierzchnię. Stary tynk w kolorze ołowiu miejscami odpadał, ukazując równe warstwy cegieł, przetykane siwobiałą zaprawą. Okna znajdowały się wysoko nad chodnikiem. Podkreślał je ciąg wystających parapetów i łukowate wykończenia u góry.

Ulica o tej porze była całkowicie pusta — siąpiła lekka mżawka i powiewał nieprzyjemny wiatr.

Mariusz owinął szalik wokół szyi, rozejrzał się w obie strony i podszedł do drzwi. Wydawały się ciężkie, równie stare, jak reszta domu, pokryte zwijającymi się pozostałościami dawno położonej farby. Nacisnął wielką kłamkę, która kiedyś musiała błyszczeć złotym blaskiem, i zagłębił się w mrocznej sieni. W środku zalaływało skwaśniałym mlekiem. Zapach mieszał się z chłodną stęchłąną podsyconą nieokreślonym, mdławym odorem, zdradzającym obecność ściennego grzyba, a z głębi dochodził rdzawy zapach gnijącego metalu. Było tak ciemno, że widział tylko niewyraźne zarysy przed sobą. Przez chwilę zawahał się i naraz przyszło mu do głowy, że coś tu nie gra, że został wciągnięty w zasadzkę, bo wszystko idzie tak dziwnie łatwo, niby zwyczajnie, ale jednak łatwo.

Zatrzymał się, nasłuchując pośrodku długiego na dwa metry przedsionka.

Po chwili z naprzeciwka dobiegł go zgrzyt, uchyliły się drzwi i w smudze żółtego światła zobaczył głowę mężczyzny, który przyjrzał mu się badawczo i kiwnął głową.

— No, włącz pan, włącz pan — powiedział zapraszająco i rozchylił szerzej drzwi. — Słyszałem, żeś pan wszedł.

Mariusz był pełen podejrzeń. Nie poruszył się i człowiek w drzwiach od razu dostrzegł jego wahanie.

— Coś pan, panie, sprawa czysta. No włączże pan. — Mężczyzna zachęcił go gestem i dodał ściszym głosem: — Jak zdjęcie? Podobało się?

Facet uśmiechał się krzywo, jakby nie całkiem wierzył w to, co mówi. Mariusz poprawił kurtkę i wszedł do środka. Owionął go zapach mdlącego ciepła.

Kobieta przy stole paliła papierosa, zapatrzona w okno. Nie zwracała na niego uwagi. Od razu zauważył podkrążone oczy i czerwone smugi na twarzy, w miejscach, po których przesuwiała dłonią, by zetrzeć wilgoć.

— Siadaj pan — powiedział gospodarz i zatarł ręce. — To jak, przyprowadzić?

Mariusz spojrział na niego zimnym wzrokiem.

— Za chwilę, najpierw formalności. I wyłącz pan ten telewizor.

Rozejrzał się wokół. Pomieszczenie było czymś w rodzaju przedpokoju połączony z kuchnią i salonem, choć to ostatecznie określenie nieszczególnie pasowało do siermiężnego wyposażenia rodem z lat siedemdziesiątych. W jednym z kątów zauważył drewniane schody

z misternie rzeźbioną oryginalną poręczą. Marna pozostałość minionego wystroju. Reszta była tandetna. Bieda skrzypiała z każdego kąta. Pewnie starcza im od pierwszego do pierwszego, ale nic więcej, a często mniej.

— Panie, wiesz pan... ja to... my... — Mężczyzna usiadł przy stole i uporczywie wpatrywał się w Mariusza. — Zawsze możemy, jak co potrzeba, to przechować, czy co tam. Jakby co było, że... no bo teraz dom będzie wolny, nie? To można wykorzystać, tak se myślę...

— Dobra — przerwał Mariusz i położył na stole grubą kopertę. — Tu jest kasa. Licz pan.

— E tam, ja ufam, no... to my tu miejsca mamy dość...

— Człowieku, nie wiem, o czym gadasz. Ja załatwiam sprawę i po zabiegu. Aha! I tak jak się umawialiśmy, znika wszystko, tak? No.

Kobieta, która do tej pory zdawała się pogrążona w swoich myślach, odeszła od stołu.

— Pójdę po nią — powiedziała.

Mariusz nie protestował. Znał to. Kobiety w takich sytuacjach tracą grunt pod nogami; wiedział, że tego nie da się zmienić, że tak już jest. Pochlipią sobie trochę, pochlipią, a potem ich życie wypełni codzienna norma. Gary, dupa, dupa, gary. Niech idzie, niech przyprowadzi, niech ma tę satysfakcję, czy co tam chce, jemu to rybka. Im się wydaje, że wtedy jakoś się wzajemnie lepiej rozumieją, że jakieś połączenie między nimi się wytwarza, a my, że niby faceci, to gównem z tego pojmujemy, i one mają w sobie coś takiego, czego my podobno nie

mamy. Głupie pizdy, wszystkie takie same kurwy, jak się przypatrzy człowiek takiej, to jakby się patrzyło na maszynę; zachowują się zawsze tak samo, da się to przewidzieć prawie bez wyjątku, jak gdyby je ktoś, kurwa, zaprogramował na takie, a nie inne zachowanie. Niech idzie, pochlipie tam sobie jeszcze, pochlipie, a potem chuj. Niech idzie.

Popatrzył na plecy kobiety i zjechał wzrokiem na jej pośladki i nogi. Nic specjalnego, w ogóle baba już nie pierwszej świeżości. Co tam kiedyś miała, to już wszystko zużyte, wyjałowione. Takich nie lubił, starał się ich nie zauważać, to nie był jego świat.

Mężczyzna pochwycił jego spojrzenie i odczytując je po swojemu, zarechotał i powiedział głośno:

— Ma jeszcze trochę dupy, nie?

Mariuszowi żart nie wydał się zabawny, facet próbował zgrywać luźnego twardziela, ale był miękki, to wyczuwało się od razu. Zapalił i przesunął popielniczkę w swoją stronę. Przypomniał sobie, jak Karol powtarzał mu: *Trzymaj się z daleka od facetów, którzy głośno chwalał swoje baby, nie ufaj typom*. I Mariusz nie ufał. Natychmiast stawał się podejrzliwy i odstawiał gościa, gdy ten tylko próbował się spoufalić. Karol w takich sprawach miał rację. Skąd, lepiej nie pytać, ale dobrze wiedział, co mówi.

— Ale zobaczysz pan, jaka ta mała jest laseczka, no... że ho, ho. Ja już tam, wiesz pan, co nieco sprawdziłem... — Mężczyzna zamilkł, bo wzrok Mariusza niemal wstrzymał mu bicie serca. Zrozumiał, że przesadził. Lepiej gadać mniej niż więcej. Wyciągnął przed siebie

ręce w geście niewinności. — Nie, nie... wszystko tam jest na swoim miejscu, ja niczego nie ruszyłem, po ojcowsku badałem sprawę, że tak powiem. Ale zaraz, gdzie one są? Pójdę, bo przecież, kurwa, nie zejda.

Mężczyzna już podnosił się z miejsca, ale Mariusz uniósł rękę i pokręcił głową.

— Siedź pan lepiej i policz kasę. Poczekam. I nie musisz pan towaru zachwalać, jak nie wiesz, jak się to robi. Nieważne. Zdjęcie było w porządku. Teraz czekamy.

Widział, że facet rwie się do koperty i tylko z największym trudem powstrzymuje się przed zajrzeniem do środka. Dał mu wyraźną wskazówkę, żeby darował sobie bezsensowny dżentelmeński sznyt, ale mężczyzna albo tego nie pojął, albo postanowił męczyć się do końca w imię swojej psiej godności. Zerkał więc na kopertę raz po raz, przebierał palcami, a odkąd zamilkł, nie mógł zatrzymać rozbieganych oczu. W takich sytuacjach papieros był wybawieniem, więc pan domu palił jednego za drugim.

Przesiedzieli w milczeniu ponad kwadrans, kiedy dobiegł ich odgłos skrzypiących drzwi. Mężczyzna drgnął i szybko spojrzał w kierunku schodów prowadzących na piętro. Czoło pokryło mu się kropelkami potu, które natychmiast zaczęły płynąć w dół.

Teraz, właśnie teraz, pomyślał Mariusz. Właśnie teraz najbardziej się denerwuje. Dławi go lęk o to, że panna mi się nie spodoba, że zobaczę jakiś defekt i może zmienię zdanie. Boi się; dobrze, że się boi.

Mariusz najbardziej lubił momenty takie jak ten, gdy opiekunowie przeprowadzali pierwszą prezentację,

wlokąc niechętnie dziewczeczki i uśmiechając się głupkowato. Wystraszeni w nie mniejszym stopniu niż dziewczyny, zmagali się ze świadomością, że pieniądze już zostały im wręczone, już poczuli rozkoszny ciężar, byli tuż-tuż wymarzonego pliku, całej hałdy szczęścia, jaka nagle miała zasypać ich obleśny żywot. A jednak, gdyby okazało się, że narybek w czymś nie odpowiada nabywcy, musieliby je oddać. Tak już się zdarzało. Po krótkiej ocenie Mariusz orientował się, że fotografia przedstawiała kogoś innego lub była zbyt wyretuszowana. Wtedy mówił tylko:

— Pomyliliśmy się. — I zgarniał kopertę z pieniędzmi.

Nigdy nie robił wymówek ani opiekunom, ani samej dziewczynie, gdyż wychodził z założenia, że chłodne milczenie znaczy więcej niż pusta gadanina, pozostawia bowiem po sobie znacznie głębszy strach i niepewność. Zdawał sobie sprawę, że gniew z powodu nieudanej transakcji skupi się w głównej mierze na dziewczynie, to ona wyrówna rachunki, pokryje straty, aby choć w części zrekompensować niepoznany ciężar koperty. Na to jednak nie mógł już nic poradzić i nawet gdyby mu zależało, nie podjąłby ryzyka. Odchodził spokojnie, ale już nigdy więcej nie wracał. Opiekunowie byli spaleni.

Najpierw usłyszeli kroki, a Mariuszowi zdawało się, że doleciało go pochlipywanie, którego tak nienawidził. Nie pomylił się. Na schodach ukazała się zaryczana dziewczyna. Próbowwała powstrzymać płacz, co tylko wzmagало niepohamowany napływ łez i następujące

po sobie spazmy. Kobieta obok też miała wilgotne oczy, ale przynajmniej zachowywała się spokojnie.

Mężczyzna podniósł się z krzesła i podszedł do nich.

— No Paula, to jest pan, który cię zabierze.

Ujął ją pod ramię i doprowadził do stołu. Dziewczyna nadal łkała. Trzymała w ręku nieduży plecak, wypchany tak, że stał się niemal okrągły.

Co takiego ma w tym plecaku? — przemknęło Mariuszowi przez głowę. Pewnie to, co zawsze, rupiecie, bzdury, które i tak się jej odbierze, bo przeszłość musi być wymazana, odcięta grubą kreską, żadnych wspomnień, żadnych zbędnych związków z dawnym życiem. Nikt by sobie tego nie życzył. Nie o to chodzi, że panienki mają jakieś tam swoje wspomnienia czy wizje, mogą sobie mieć nawet mistyczne przeżycia, byle tylko dupa była wypięta, kiedy trzeba, a buziuchna rumiana i otwarta. Jest to tak proste, jak pieprzenie za rogiem obskurnej kamienicy.

— Stań prosto — powiedział łagodnie.

Dziewczyna o imieniu Paula wyprostowała się i popatrzyła na niego, ocierając dłonią oczy. Ciekawe, czy przeczuwała, dokąd jedzie? Niektóre, głównie te starsze, nie miały wątpliwości, wydawały się nawet pogodzone z tym, co je spotyka, jakby im już nie zależało, bo właśnie pojęły, że nie ma nic trwałego, a miejsce, w którym akurat przebywają, to tylko przystanek. Doświadczony w swoim fachu, Mariusz nie dziwił się, że w ich zachowaniach przejawiała się prawdziwa eksplozja uczuć, od paniki po smutek tłumiony w kącie. Znał to dobrze i akceptował, ponieważ potrafił wczuć się w położenie

kogoś, kto doświadcza zdrady. On sam zapewne dziwnie by się poczuł, gdyby na przykład Karol Cichowski go sprzedał. Więc rozumiał te dziewczyny i znosił cierpliwie pierwszy impuls powodujący płacz i temu podobne oznaki niezadowolenia, godził się na to wszystko, o ile tylko nie trwało to zbyt długo. W przeciwnym razie stosował powszechnie znane metody pacyfikacji opornych, choć zazwyczaj wolał tego unikać.

To była bez wątpienia dziewczyna ze zdjęcia, tyle że wyglądała na młodszą. W kategoriach towarowych oceniał ją wysoko, z takich panienek pożytek był na długie lata. Świeża, jasna twarz, szczupła sylwetka, biodra wąskie, ale wyraźnie zarysowane, cycek na swoim miejscu, no i usta — pełne i jędrne, o jakich niejednokrotnie marzyli goście ze szczególnymi upodobaniami. Niewątpliwie dziewczyna o imieniu Paula byłaby dobrym interesem, dałoby się z niej sporo wycisnąć, jak nie tu, to tam, a po roku, dwóch przesłać dalej.

Tyle że nie w tym przypadku, nie tym razem. Szkoda, że jej przeznaczenie miało być inne. Karol Cichowski rezerwował ją dla siebie. Choć mu się to nie podobało, Mariusz był lojalny i wypełniał polecenie sumiennie, bez niepotrzebnych pytań. Miał smarkulę przywieźć, to ją przywiezie, i nikt mu w tym nie przeszkodzi.

Jeszcze raz przyjrzał się dziewczynie i pomyślał, że gdyby nie zobowiązania, chętnie sam by ją przetrzebił, tak na początek, w sensie typowo przygotowawczym, żeby ją dobrze naoliwić przed okresem wzmożonej eksploatacji — weszła już w końcu w odpowiedni przedział, w sam raz dla niego. Niewątpliwie była pociągająca

i Mariusz był przekonany, że i tak wszystko potoczy się, jak w przypadku innych podobnych niewiniątek.

— A to po co? — spytał, sięgając po złoty łańcuszek zwisający z jej szyi. — Niepotrzebne są takie bzdury, dziewczyna jeszcze sobie krzywdę zrobi.

— To na pamiątkę — powiedziała kobieta, wysuwając się nieco do przodu. — Chciałam, żeby... żeby coś miała, żeby...

— Niech pani to weźmie, tu nie trzeba pamiątek. — Mówiąc to, zerwał łańcuszek i położył na stole. Popatrzył jeszcze raz na dziewczynę, a potem zwrócił się do mężczyzny: — Tak jak się umawialiśmy. Będę czekał, tylko żeby to za długo nie trwało.

Powiedziawszy to, energicznym krokiem opuścił dom.

Kobieta i mężczyzna popatrzyli na siebie.

— Co ty, kurwa, z tą pamiątką? — spytał.

— Zamknij się!

Usiadła przy stole i wpatrzyła się w okienne zasłony. Mężczyzna myślał, że zaczęła płakać, ale były to tylko ciche pokasywania. Stał bezradnie, jakby nie wiedział, co robić.

— Zabierz ją stąd! — powiedziała nagle kobieta, odwracając ku niemu głowę. W jej oczach gromadziła się złość. — Zabierz ją wreszcie!

Dziewczyna o imieniu Paula ścisnęła plecak. Nieznacznie zgarbiona, ze wzrokiem wbitym w podłogę, wydawała się taka jak zwykle, a jednak właśnie w tym momencie coś się nieodwracalnie zmieniło: o ile jeszcze dziś, zanim zeszła na dół, była częścią całości, ciągle

przynależała do tego domu, o tyle od tej chwili cała dotychczasowa przynależność wyciekła z jej chudej postaci. Nagle stała się całkowicie samotna. Mężczyzna spoglądał na nią i uzmysławiał sobie z wolna, że patrzy na coś w rodzaju ludzkiego worka. Emanował od niej zapach obcości, spłoszonego zbiega. Oderwał od niej wzrok, a później zasiadł za stołem i wyciągnął kolejnego papierosa.

— Siadź sobie — powiedział, wypuszczając dym. — No siadaj! Nie stój tak nade mną, bo to mnie wkurwia! Chwila i jedziemy.

Kobieta nagle podniosła się, przez moment stała obok nich, aż w końcu, nie mówiąc ani słowa, pobiegła na górę. Dziewczyna odwróciła za nią głowę.

— Zaraz, zaraz jedziemy — powiedział mężczyzna, kończąc papierosa.

Jakby próbował w ten sposób zapanować nad tym, co się dzieje, jak gdyby tych parę słów miało zmienić jej odjazd w zwykłą wycieczkę, po powrocie z której ciepły dom czekałby otworem. Puszczal kłęby dymu i spoglądał na sufit.

Paula nie zareagowała. Wpatrywała się tylko w swój kolorowy wypchany plecak.